

Wyspa wolności

Wiosną i latem 1989 roku przebywałem na stypendium w Wiedniu, kończąc swoją rozprawę habilitacyjną. Wyjechałem z Polski już po Okrągłym Stole z mocnym postanowieniem przyjazdu do Krakowa na wybory 4 czerwca. Dla wychodzącej z podziemia opozycji wybory 4 czerwca stać się miały testem na siłę społecznego zaufania do ludzi „Solidarności”. Kraków, do którego wróciłem na weekend wyborczy, obklejony był plakatami. Zdjęcie z Lechem Wałęsą na plakacie wyborczym „Solidarności” – niekwestionowanym wówczas przywódcą opozycji – miało uwiarygadniać naszych kandydatów. W czasie gorącej czerwcowej niedzieli przed naszym punktem przeciwsłonecznym parasolem Uta Kalinowska i moja żona, jako „mężowie zaufania” reprezentujący Komitet Obywatelski. Wielu zadawało bowiem sobie pytanie, czy tak pomyślane wybory nie okażą się kolejnym oszustwem komunistów. A w poniedziałek pod siedzibą Komitetu Obywatelskiego w kamienicy Arcybractwa Miłosierdzia przy ulicy Siennej czekaliśmy na wyniki wyborów. Pamiętam rozpromienioną twarz Mietka Gila – naszego krakowskiego bohatera czasów stanu wojennego – który uzyskał najlepszy wynik spośród wszystkich kandydatów do Sejmu. Zdjęcie z Lechem Wałęsą okazało się 100% gwarancją zdobycia mandatu parlamentarnego. W tym kontekście dzień wyborów 4 czerwca uznać należy za jeden z cudów w historii nowoczesnej Europy.

Temu triumfowi „Solidarności” towarzyszyła totalna klęska obozu władzy, którego nieomal wszyscy przedstawiciele nie uzyskali w I turze wymaganego minimum 50% (na 299 miejsc w Sejmie zarezerwowanych dla przedstawicieli obozu władzy obsadzono tylko 3!). Stało się więc jasne, że reżim został śmiertelnie zraniony. Jego ostateczny upadek był kwestią czasu. Polacy w swobodnym plebiscycie za wolnością i przeciw systemowi „realnego socjalizmu” powierzyli swój los obozowi „Solidarności”.

Wybory 4 czerwca stworzyły więc zupełnie nową sytuację, również w wymiarze międzynarodowym. Dokładnie tego samego dnia w Pekinie na placu Tiananmen realizował się przy tym inny scenariusz, nie obcy przecież doświadczeniu narodów Europy

Środkowej. Ten splot wydarzeń rodził zarówno entuzjazm, jak i nieufność. W Polsce komuniści nie wybrali drogi chińskiej, ani drogi Ericha Honeckera. Postanowili włączyć się w demontaż systemu, w którego sens sami stracili wiarę. Równocześnie liderzy „Solidarności” – często wbrew oczekiwaniom społecznym – unikali po 4 czerwca konfrontacji z przedstawicielami słabnącego reżimu. W ten sposób polska pokojowa rewolucja, która odbywała się latem 1989 roku w zaciszu gabinetów, weszła w kolejną fazę. Ostatecznym zamknięciem tego wstępnego etapu demontażu systemu stało się sformowanie na przełomie sierpnia i września 1989 roku rządu Tadeusza Mazowieckiego. Jego zaprzysiężenie w dniu 12 września 1989 otwierało nowy etap polskiej transformacji, w którym ludzie „Solidarności” wzięli odpowiedzialność za budowę nowej polskiej rzeczywistości.

W takich okolicznościach wracałem we wrześniu 1989 roku z Wiednia do Krakowa. Po zaledwie kilkumiesięcznym stypendium naukowym w Austrii. Wracałem do tej samej, ale i do innej Polski. Jak bardzo „nienormalny” był to wówczas kraj, można było się przekonać, podróżując w Wiedniu do Krakowa przez terytorium Czechosłowacji, nie tylko uśpionej w politycznym letargu, ale i przypominającej podróżnym o swej dozgonnej miłości do Związku Radzieckiego za pomocą ustawionych wzdłuż dróg czerwonych gwiazd i niebudzących wątpliwości o braterstwie narodów napisów. Była to z polskiej perspektywy nie tylko groteska, ale i podwójna przepaść. Potwierdzała nie tylko znaną już wcześniej tezę, iż Polska stanowiła zawsze „najweselejszy barak w całym obozie socjalistycznym”, ale i pozwalała lepiej zrozumieć wyjątkowość polskiej wyspy wolności na mapie ciągle przecież podzielonej żelazną kurtyną Europy. Utwierdzało to nas w romantycznym przeświadczeniu o polskiej misji „Chrystusa Narodów”, zwłaszcza w zderzeniu z czechosłowackimi służbami granicznymi, które traktowały tłumy podróżujących na Zachód Polaków jak trędowatych. Budziło też pytania o dalsze scenariusze rozwoju „polskiej choroby”. Zwłaszcza, że prawdziwe wyzwania stanęły jesienią 1989 nie tylko przed naszymi sąsiadami, ale i przed Polską.

JACEK PURCHLA

Wahanie (krótkie)

Pomagałam trochę na zapleczu Okrągłego Stołu: poprawiać literówki w krążących komunikatach, znosić te komunikaty właściwym osobom, serwować herbatę i kawę zmęczonym uczestnikom obrad, kiedy wpadali na chwilę do zagraconego pokoju, udostępnionego nam w Hotelu Europejskim. Słuchało się urywków informacji i plotek, które zapamiętałam jako optymistyczne.

Niewielkie to były zasługi w końcówce minionej epoki. Większe mieliśmy, my dziennikarze, w dosyć przebiegłych, choć nieczęsto zwycięskich, grach z cenzurą. W „Tygodniku Powszechnym”, z którym wtedy współpracowałam, miałam luksus oglądania interwencji w postaci kresek w nawiasie i czasami chwalenia się ich liczbą przed kolegami.

Czwartego czerwca powitałam tak, jak z pewnością większość Polaków. Koniec wiadomo jakiej epoki i początek... zdawało się, że też wiemy. Niedługo przyszło wahanie, a może raczej coś w rodzaju, nieoczekiwanego w takim momencie, rachunku sumienia. Jakby ktoś z zewnątrz pytał: czy na pewno masz prawo wrócić do zawodu dziennikarskiego po kilkadziesiąt lat służby na „froncie ideologicznym”, czym była praca w Polskim Radiu (młodym wyjaśniam, że wtedy było tylko radio państwowe). Nie pracowałam nigdy w redakcjach informacyjnych, gdzie często trzeba było kłamać i to grubo, ale w oświatowej czy kulturalnej

redakcji także obowiązywały zapisy cenzury i oficjalne interpretacje.

Moje wahanie szybko rozproszyła radość z tego, że można będzie pozbywać się Ezopowego języka (samo uczenie się mówienia wprost okazywało się bardzo pojętne), że trzeba będzie nadrobić niedostatki okrojonego przez lata przekazu historii, tradycji kulturalnych, przywracać wymazane zdarzenia i kompletować rejestry postaci skazanych na niebyt. Przekonałam się, że mego wahania, co do moralnych uprawnień uczestniczenia w tym wszystkim, nie podzielają koledzy, będący w takiej samej sytuacji. Do dzisiaj tego nie rozumiem.

Rozterki minęły szybko, pośród rozszalałych rychło dyskusji, np. o pożądanej w warunkach budowania demokracji „przejrzystości” dziennikarzy, tj. zachowaniu takim, by nikt z odbiorców nie domyślił się, jakie mają poglądy na najważniejsze sprawy. Potem zaczęła się praca nad poprawieniem poziomu etycznego mediów, najpierw w obrębie Rady do spraw Mediów i Informacji przy prezydencie Wałęsie, potem w REM.

Teraz, trzydzieści lat po tamtym dniu, stanowiącym granicę epok, niezależnie od zła, jakie się pojawiało w polskim życiu, robiąc rachunek sumienia, najpierw dziękuję Opatrzności za możliwość przeżycia tego czasu z przewagą radości i satysfakcji nad strapieniami, a potem jeszcze próbuję „mierzyć siły na zamiary”.

MAGDALENA BAJER